

Wiedźma



ELIZA ORZESZKOWA

Wiedźma

Zdaje się, że w całej tej wsi nadniemeńskiej powszechnie poczytywano ją za wiedźmę. Pośród mężczyzn znajdowali się zapewne tacy, którzy na rzeczy tego rodzaju mieli pogląd trochę sceptyczny, a nadewszystko wcale o nich nie myśleli, lecz kobiety zostawały ze sobą ma tym punkcie w doskonałej zgodzie i jednomyślności, co już samo było zjawiskiem tak rzadkiem, że niemal nadprzyrodzonym.

Dwudziestoletnia Nastusia Perejkowa osłupiała ze zdziwienia, gdyśmy ją o chatę Słaboszycy zapytały. Było to na miedzy, z której stron obu stały na świeżem ściernisku dziesiątki snopów. W krótkiej, kraciastej spódnicy, w białej koszuli i czerwonej chustce, z tyłu głowy na kasztanowatych włosach związanej, z niskim, ogorzałym czołem, które miało dziewiczą gładkość i pogodę, z oczami, jak bławatki pośród zboża, świecącymi pośród ciemno płowych brwi i rzęs, wydawała się ona wcieleniem sielanki. Bosym jej stopom, do połowy ukrytym w trawie, słońce nadawało połysk pozłoczonego brązu, przy każdym poruszeniu sierp, który w spuszczonej ręce trzymała, jak srebrny półksiężyc błyskał u jej kraciastej spódnicy. Pytanie nasze spowodowało w niej dziwną zmianę. Spowaźniała, ściągnęła brwi i z pod nich patrzała na nas trochę trwożnie i nieufnie. Po chwilowem wahanii, milcząc, ukazała chatę, stojącą w pewnym od wsi oddaleniu, na bielejącej zdala płachcie piasku i, widocznie niezadowolona, uczyniła krok ku odejściu, ale, rozmyśliwszy się snać, stanęła znowu i zapytała:

— Czy wy do niej pójdziecie?

Mówiła cicho i patrząc w ziemię. Usłyszawszy, że chcemy poznać ziola, któremi Słaboszycza leczą wiejską ludność, z ironją skrzywiła drobne, ponsowe usta.

— I wy wierzycie temu, że ona *lekaruje*?

Bliżej ku nam przystąpiła i ze spuszczonego wzrokiem, cicho i prędko mówić zaczęła:

— Ja wam dobrze życzę. Nie idźcie do niej. Ona nie *lekaruje*, ale *wiedźmaruje*; spytajcie się kogo chcecie, czy ją łągę. Łucja, ta, co z drugiego końca, naprawdę *lekaruje*. Świokrze na wiosnę w *sieredzinie* tak bolało, że aż krzyczała, a jak tylko Łucja ziółek jej nawarzyła i napić się dała, zaraz przestało. *Mego* od febry wyleczyła, a kiedy u Karasiowej dziecko na *lichtarytys* zachorowało, to i felczer nic nie pomógł, a ona pomogła. Ale ta... niedobra! Złe tylko zna, dobrego nie zna. Ludzie chodzą do niej po rady, ale to dlatego, widzicie, że boją się jej... nie żart, jak boją się tej szelmy. Przeszłego roku czemścić takim ogród Mikuły posypała, że robactwo go napadło i wszystkie liście na warzywie porobiły się jak sita. Do Kobardowej obory taką rozpuchę wpuściła, która wszystkie mleko z krów wydajęła, a Karasiowej żonce cościć takiego zrobiła, że jak na wiosnę dziecko zległa, to i do tego czasu nie wstaje. Rozgniewała się, widzicie, na Karasia, że ją wódką nie traktował, a na Mikułę i Kabadę, że po pijanemu jej dziada wybili.

— Czy to jej mąż, ten dziad, którego wybili?

— A toż. Mąż. Lokajem kiedyś we dworze służył, uczony był podomno, na książce czytał, ale teraz chodzi z kijem po świecie i żebrze... Posiedzi w domu miesiąc, dwa i znów torbę na plecy i do jakiego miasteczka, albo pod jaki tam kościół żebrac idzie. Czy on jej dużo pieniędzy przynosi, czy co, ale ona za nim, jak matka za dzieckiem — tak ginie. Oczy ludziom wydzieralaby za niego. Kiedy, nie daj Boże, ktokolwiek jemu choć złe słóweczko powie — zaraz *pomstuje*...

— A dzieci mają?

— A toż. Syn za parobka po dworach służy, a córka taka sama jak ona i wnuczka będzie taka sama. Ta córka, Maryśka, to już dwa razy za mąż wychodziła i za każdym razem mąż

jak raz w rok i dwanaście niedziel umierał... Tak już ona im robiła... po pierwszym córkę ma... czartowskie plemię...

— Dlaczego czartowskie plemię?

Nastusia przysunęła się ku nam tak, że czułyśmy na twarzach jej gorący oddech. Mówiła bardzo śpiesznie i cicho.

— Są widzicie tacy ludzie, których Pan Bóg nie stworzył Czart ich stworzył. A kiedy ojciec, albo matka tak przyjdą na świat, to i dzieci będą takie i wnuki... całe już plemię takie... czartowskie... Oni... oni...

Zawahała się. Na dziewiczo gładkiem jej czole powstały dwie poprzeczne zmarszczki, oczy pociemniały i znieruchomiały, grozą zdjęte. Zdawało się, że przez te kilka sekund o dziesięć lat postarzała. Tak cicho, że ledwie dosłyszeć ją było można, kończyła:

— Oni nie mają duszy. Im czart zamiast duszy swoją złą siłę daje... Oni bez duszy...

W tej chwili od wsi i Perejkowej chaty męski głos zawołał:

— Nastusiu! Nastusiu!

Jakby na czarodziejskie zaklęcie, na dźwięk tego głosu, twarz młodej kobiety zajaśniała znowu wiosenną pogodą. Mogło się zdawać, że głos ten przebudził ją z dręczącego snu.

— Oj! — zawołała, — a to *mój* z łąki już powrócił... Na błocie kosił o milę stąd i mówił, że jutro powróci, aż tu już i powrócił! aaaa! *Kab jeho*...

Serdeczna radość paliła się w jej oczach i śmiała się na czole, ustach i policzkach. Głowę ku nam skinęła i odbiegła. Ale po kilku krokach wróciła jeszcze, znowu trochę chmurna, niespokojna:

— Moje wy mileńkie, — zcicha i błagalnie przemówiła, — nie mówcie tylko nikomu o tem, co ja wam o Słaboszysze powiedziałam, zmiłujcie się, nie mówcie... broń Boże dowie się, jeszcze pomstować będzie i mojemu, albo dziecku co złego zrobi.... Nie powiecie? Moje wy mileńkie, nie mówcie!

Otrzymawszy żądane przyrzeczenie, szybko odeszła ku wsi, wyprostowana, zgrabna, małemi, ale silnemi stopy deptając trawę i kwiaty. W gęstwinie warzywnego ogrodu i wiśniowego sadu parę razy jeszcze sierp na kracastej spódnicy błysnął jak srebrny półksiężyc...

*

Szłyśmy dalej. Opuszczając na dziś zamiar odwiedzenia Słaboszycy, szłyśmy szerokiemi, to znowu bardzo wąskimi miedzami, wśród równego pola, na którym to stały jeszcze złote ściany nieściętego żyta, ówdzie wznosiły się przysadziste dziesiątki snopów, gdzieindziej ciemna grusza w zakłętej nieruchomości stała nad ścierniskiem, usianem drobnymi liśćmi i kwiatami, których nie dosięgnął sierp. Wszystko pogodny wieczór powlekał już zmrokiem, rozwidnianym przez fioletowe smugi, błędzące po zbladłym błękicie nieba i przez wielki pas jaskrawej purpury, który stał na zachodzie, przelewając w sobie fiolet i złoto. Od tych ostatnich świateł dnia powietrze i ziemia nabierały tu i ówdzie barw fioleto i bladej czerwieni; napępiała je przecież żółtość świeżo ściętej słomy.

Cicho było, coraz ciszej. Żniwiarze dawno już zeszli z pola, trzody porykiwały we wsi, aż uciszyły je ściany obór, na gruszach usnęło ptactwo. Na znaczną już odległość oddaliśmy się od wsi, gdyśmy pośród pola spostrzegły trzy ludzkie postacie, które, jedna za drugą, ku ziemi schylone, bardzo powoli posuwały się w prostej linii zagonu. Niebawem spostrzegłyśmy, że były to trzy kobiety. Kiedy, przyśpieszywszy kroku, zbliżyłyśmy się ku nim, zobaczyłyśmy, że były to żniwiarki, dziwnie spóźnione. Dla wszystkich robota dzienna była już ukończona, oprócz dla nich.

— Boże dopomóż!

— *Dziakujemy*, pani! — odpowiedziały dwa głosy. Trzecia żniwiarka, ta, która szła na ostatku, nie odpowiadała. Było to dziecko. Trzynastoletnia, szczupła, blada, nie miała w rękę sierpa; za tamtymi zbierała kłosa i w snopy je składała. Teraz także, z więzią żyta w podniesionych nad głowę rękach, z opadającymi na szarą koszulę lnianymi włosy i z pod krótkiej spódniczki tonącymi w ścierni bosemi stopy, wlepiła w nas ogromne, zadziwione, wśród chudej twarzy błękitem świecące oczy. Tamte na przedzie żąc przestały i wyprostowały się. Szczególny widok. Trzy pory życia; trzy pokolenia. Obok dziecka stała kobieta dojrzała, barczysta, czerstwa, z mnóstwem tylko zmarszczek na ogorzałem

czole, które czyniły je zbołałem, zgryzionem i ponury wyraz nadawały czarnym, płomiennym oczom. Trzecia była starą, przygarbioną, pomarszczoną, bezzębną babą, w której przedewszystkiem uderzały ręce dziwnie od wyschnięcia małe, prawie jak ziemia czarna, z tak powykrzywianymi palcami, że trudno było pojąć, jakim sposobem mogły one utrzymać sierp, który też w sposób niezwykły u piersi trzymały. Wszystkie trzy były ubrane bardzo ubogo. Wobec ich niebielonych koszul, starych spódnic, brudnych fartuchów i chustek, ubranie Nastusi Perejkowej mogłoby się wydawać bogatym strojem.

— Spóźniłyście się z robotą... poraby już do chaty wracać i wieczerzać...

Bez zadziwienia, śmiało, trochę szepleniąc i głową trzęsąc, baba odpowiedziała:

— Nie można jeszcze, pani drogieńka, oj, nie można.... trzeba dziś pół morga skończyć, żeby tam niewiadomo co, trzeba, bo tak kazali...

— Kto kazał?

Głową na dwór wskazała.

— *A wakomon!*

— Czy to nie na swoim żniecie?

— Na swoim! — zadziwiły się, oj, Bożeż mój, Boże, gdzież te swoje? Niema, pani drogieńka, niema ani kawaleczka... Ze dworu pod kartofle i pod len troszkę dali, na *odrobotek*. Pszenicę my już pleli, a teraz żniemy. Pół morga *zżać* kazali.... nie tak to na trzy i wiele, tylko, że jedna stara, druga mała, z trzeciej tak samo robotnica nie tęga.... to ot tak, i nocka na polu zastała...

— A dlaczegoż z młodycy robotnica nie tęga? — zapytałyśmy żartobliwie.

Kobieta z pomarszczeniem czołem i płomiennymi oczami, trochę z zawstyżeniem, trochę z niechęcią twarz odwróciła. Baba za to, z sierpem u piersi i brodą na dłoni, natychmiast zagadała:

— Oj, pani drogieńka, nieszczęśliwa ona! taka nieszczęśliwa, że już niewiadomo, za co Pan Bóg najwyższy takie jej dał nieszczęście! Dziewka z niej pracowita była, każda robota, bywało, pali się jej w rękach... Ale teraz ochoty do niczego nie ma.... jak o swoim nieszczęściu zamyśli się, tak ze spuszczonej rękami nad robotą stoi...

Ta, o której mówiła, z ponurem wejrzeniem, niecierpliwie, za rękaw koszuli ją pociągnęła.

— *Chadźmo, mamó, chadźmo! już nie rano!* — Baba trąciła ją łokciem.

— A cicho-że! — zaszepleniła z takim gniewem, że aż jej małe oczy, wśród niezliczonych zmarszczek, zielonawo błyskały. — Co ty mnie z panią gadać przeskadasz! Widzisz, jaka znalazła się! *Chadźmo! chadźmo! Idzi siabie do wszystkich czartów!*

O, nie była wcale słodką ta staruszka!

— Czy to wasza córka?

— A córka! Żeby świat takich *pahanych* córek nie widział! Dwa razy już szła ode mnie i dwa razy powracała... Rok i dwanaście niedziel z każdym mężem przeżyła i *czart* jego duszę brał...

Niezrażona, młoda kobieta zaszeptała znowu:

— *Chadźmo, mamó, chadźmo kończyć!...*

— *Idzi ze wszystkiej głowy....*

— Jak nazywacie się?

— Słaboszicha, pani drogieńka, Maksyma Słabosza, co kiedyś we dworze za lokaja służył, żonka...

Z temi słowy żywo posunęła się ku nam i z przykrą uniżonością, z rodzajem umizgów na zgrzybiałej twarzy, które i płacz i śmiech udawać usiłowały, w ręce całować nas zaczęła. Wzamian córka jej stała wyprostowana, ponura, na wszystko obojętna.

— *Chadźmo, mamó!* — raz jeszcze powtórzyła, — a to tatko z miasteczka powróci i nie będzie miał czem powiecerzać!

Uwaga ta wywołała na starą wpływ niespodziany. Aż zatrzęsała się cała od niej i, szybko na zagon wracając, mówiła:

— A-a-a! prawda twoja, *dońko!* oj, stara już moja głowa i pamięć z niej uciekła! A toż on powróci... Może już i powrócił, a nie będzie miał czem powiecerzać! Oj, daj tobie Boże zdrowie, *dońko*, że ty mnie przypomniła... *Chadźmo, żywo tylko chadźmo, kończyć!...* Nu, Mańku, — na wnuczkę zawołała, — co ty jak ta wrona z rozdziawioną gębą stoisz! *Chadzi! Żywo!* —

Pochyliła się; małe, czarne jej ręce żywo zaruszały się wśród szeleszczącej słomy; bez pożegnania z nami, przodem poszła. Za nią szła młoda kobieta, pochód kończyła mała dziewczynka.

Stojąc na miedzy, ściagałyśmy je wzrokiem. Oddalały się dość prędko i zarazem przy- cichał szelest poruszanej i ścinanej przez nie słomy, aż zupełnie przestałyśmy go słyszeć. Tylko długo jeszcze w ciszy pustego pola, w łagodnym zmroku trzy ich postacie posuwały się wciąż naprzód, jedna za drugą. Pod fioletowymi smugami, rozrzuconymi na błędnym niebie, w świetle czerwonego obłoku, który bladł na zachodnim jego krańcu, wyglądały jak trzy ciemne, zgarbione widma tych biblijnych niewiast, które wieczorem, po zejściu z pola żniwiarzy, podnosiły i zbierały upuszczone przez nich kłosy. Wiedziałyśmy przecież, że były one nie czem innym, tylko czartowskim plemieniem.

*

Że w Słaboszysze mieściła się część tej złej siły, która, najrozlicniejszymi strumieniami rozlewając się po świecie, w najrozlicniejsze sposoby dręczy, krzywdzi, gnębi ludzi, o tem, po bliższym z nią zapoznaniu się byliśmy przekonane. Widać to było z ostrych błysków jej zielonawych oczu, z unizonych umizgów, które czasem w dziwne tańce wprawiały zmarszczki jej twarzy, z niecierpliwych, albo łakomych ruchów jej powykrzywianych i mnóstwem guzów okrytych palców, nadewszystko zaś z głębokiej jej znajomości zarówno roślinnych, jak wszelkich innych środków, przez które, na ludzkie zdrowie i losy dodatnie albo ujemne wpływy wywierać można. Wybornie znała się na czarach, rzucanych w oczy i tych, które rzucają się w plecy, na załamywaniu ze strasznych zakłębionych kłosów w polu i rzucaniu pod czyjąś chatę z takiemiż intencjami związanych tasiemek; wiedziała, że istnieje na świecie siedemdziesiąt złych wiatrów, tak samo jak siedemdziesiąt fałszywych wiar, — i jakimi sposobami sprowadzać można pierwsze na chaty i ludzi, lub też, za odpowiednim wynagrodzeniem, odwracać je od nich. Nie były jej nieznane skutki, które dla żywego ciała wyniknąć mogą z uderzenia w nie ręką trupa i te, które na zdrowie człowieka wywiera wyrzucenie za płot o wschodzie i zachodzie słońca siedmiu szpilek. Gdy ktokolwiek był chory, napewno przepowiedzieć mogła śmierć lub wyzdrowienie, według wskazówek dawanych jej przez liście barwinku, idące na dno, lub wypływające na wierzch wody, napelniającej garnek. Do jej rad się stosując, kobiety mogły przyciągać lub odpychać ukochanych lub nielubionych mężczyzn, unikać niepożądanego macierzyństwa, lub zasmucającej bezpłodności, mieć dzieci wtedy tylko, gdy się im to podobało, albo nie mieć ich wcale. Umiała sprowadzać do chat pożądanego gości, zarówno jak rodziną niezgodę i kłótnię, do obór chorobę, do ogrodów nieurodzaj i robactwo. Znała przyczyny rodzenia się nieżywych dzieci i sposoby, zapobiegające temu nieszczęściu. Od piorunów miała zioła w kościele poświęcane; jedne kategorie chorób leczyła niezliczonym mnóstwem ziół, przeciw innym piekła obwarzanki zupełnie osobnego kształtu i rozmiaru, które zawieszała w polu na samotnych drzewach, aby niespostrzeżenie dla ludzkiego oka zjadało je dzikie ptactwo. O tych i wielu podobnych rzeczach mówić zaczęła wiele i chętnie wtedy dopiero, gdy spostrzegła, że to jej zysk przynieść może. Zwykle jednak mówiła cicho, oglądając się z widoczną obawą, aby mowy jej nie podsłuchali ci, którym nie ufała, albo z którymi nie chciała dzielić się swoją wiedzą. Czasem stara twarz jej nabierała wyrazu dziwnie sprzecznego z pokrywającymi ją zmarszczkami.

— Gdyby sto razy przed ślubem zgrzeszyła, kiedy zrobi to, a to, mąż nie pozna, za nic nie pozna... Albo.

— Żeby tam nie wiem jak mąż jej nie lubił, kiedy mu da napić się tego a tego, spokojności jej lubieniem swoim nie da... dali Bóg, nie da, i prosić będzie o taki sposób, żeby odczepił się od niej...

Cicho, prawie do ucha słuchaczki to lub tamto mówiąc, w zielonawych oczach miała miód lubowania się w obrazach pewnego rzędu, a cyniczne uśmiešky zdawały się wśród zmarszczek skakać po całej jej twarzy. Zaraz jednak potem z fartucha wydobywając inne ziele, poważniała; zamyślała się, coś sobie przypominała, aż z bezzębnych, zapadłych ust jej wychodziła przywiązana do niego naiwna, poetyczna nazwa, lub poetyczna, prosta, czysta legenda. Podarek kukułki i siew kukułki ziele, słowicy listek, łezki, owieczki, zajączek, zajączko... Historia młodego chłopca, który do wojska wzięty, wracając, znajduje

w chacie ukochaną żonę na śmiertelnym łożu, idzie w pole dla wyszukania zbawczego zioła, szuka go, głośno modląc się i płacząc, znajduje, przynosi i żonę niem od śmierci ratuje; historia sponiewieranej sieroty, którą, gdy spać jej kazano na twardej ziemi, Najświętsza Panna zaprowadziła we śnie na łąkę, ukazała jej puszyste, mlecznie białe kiście trawy, zwanej owieczki, i nauczyła ją z nich robić pościółkę, która w nocy jak srebro świeciła. Te lub podobne rzeczy opowiadając, Słaboszycha stawała się rzewną, rozlawną; głową żałośnie wstrząsała, wzdychała, czasem łzę końcem fartucha otarła. Podziwialiśmy niekiedy siłę i sprężystość wrażliwości, do tak późnego wieku przetrwała. Od cynicznej żartobliwości do rzewnego roztkliwienia przechodziła z równą łatwością, jak od wybuchów gniewu, wśród których oczy jej nabierały kocich połysków, a mowa stawała się tak szepleniącą, że zrozumieć ją było prawie niepodobnym, do prawie dziecinnej uciechy i wesołości, która na widok podarunku, lub wobec przyjaznego żartu, wybuchała kłaskaniem w małe, wyschłe ręce i śmiechem, który w szalony taniec wprawiał zmarszczki jej małej, okrągłej ruchliwej twarzy. Lat swoich obliczyć nie umiała w sposób inny, jak ten, że wyszła za mąż w tym samym roku, w którym było zaćmienie słońca, a urodziła się pewno, na dwa lata przed śmiercią starego pana. Wedle obliczeń tych miała lat sześćdziesiąt kilka, a od czterdziestu blisko była mężatką. Z pięciorga dzieci jej, z których troje umarło, Maryśka była najmłodszą. Rodziła się ona w tym samym roku, w którym stary Maksym z wojska powrócił. Wedle tej wskazówki powzięte informacje uwiadomiły nas, że ta piękna, krzepka kobieta z płomiennymi oczami i pomarszczonym czołem nie miała całych lat trzydziestu dwóch. Staraliśmy się widywać ją i rozmawiać z nią jaknajczęściej. Pierwsze osiągnąć było bardzo łatwo, drugie prawie niepodobna. Przedstawiała ona ze swoją matką sprzeczność zupełną. Wezwana do dworu dla zarobku, przychodziła, ale była zawsze tak obojętna i milcząca, że gdyby nie płomiennosc czarnych oczu i las przedwczesnych zmarszczek na czole, możnaby ją było wziąć za istotę całkowicie nieczułą i bezmyślną. Niekiedy tylko uczucie, lub myśl wytryskiwały z niej nagle, gwałtownie i — na krótko. Raz, gdy w warzywnym ogrodzie pracowała, zapytałyśmy się jej o chłopską nazwę jakiejś rośliny, pewnie, że wiadomości podobne posiadać umiała od matki. Ale w jej oczach zapytanie nasze roznieciło wielki gniewny płomień.

— *Nie wiedają!* — prawie z krzykiem odpowiedziała, — *niczego takoho nie wiedają!* Niech ich czort weźmie, te wszystkie ziela!

Aż zatrzęsała się cała od gniewu i wstrętu — co jednak trwało ledwie sekund parę, poczem natychmiast pochyliła się nad zagonem, zacisnęła kształtne usta i prędko, prędko ze spulchnionej ziemi wykopywać zaczęła żółte, kosmate marchwie. Innym razem, gdy, po zapłacie przyszedłszy, stała ze złożonymi przed sobą rękami, niczego, co otaczało ją, nieciekawa w posępnej obojętności swojej dla wszystkiego i wszystkich, dumna i wzgardliwa, ostrożnie, przyjaźnie zapytałyśmy jej czy prawdą było, że obaj jej mężowie poumierali w rok i dwanaście tygodni po ślubie... Podniosła na nas trochę zdziwione oczy i piersiowym głosem, zcicha, powoli odpowiedziała:

— Nieprawda. Pierwszy umarł w rok i dwanaście niedziel po ślubie... sam Pan Bóg zlitował się widać nademną, że go tak prędko wziął, bo lichy był i dużo ja nacierpiałam się przy nim... Ale Hryhor... ten drugi... dwa lata bez trzech niedziel po ślubie żył...

Zawahała się na chwilę, poczem dokończyła:

— Oddałamby ja swoją duszę za to, żeby on żył... niechbym lepiej ja nie żyła, żeby on tylko żył!...

— A dlaczego ludzie mówią, że obaj oni w jednym czasie po ślubie poumierali?...

Teraz po śniadej twarzy jej przemknął wyraz wzgardy. Ramionami wzruszyła.

— Ludzie! powtórzyła — żeby im dobra nie było! — Jeden wymyślił, a wszyscy powtarzają... Przecież i śledztwo zjeżdżało...

— Śledztwo! — zawołałyśmy, — a toż czemu?

Mokre jej oczy z osłupiałym przerażeniem wpatrzyły się w ścianę.

— Czemu? a toż... a toż, żeby przekonać się, czy ja jemu co złego...

Nie dokończyła, rękami splasnęła i, okręciwszy się, do drzwi przypadła. Nie miałyśmy czasu na nią zawołać, gdyśmy ją przez okno w połowie już dziedzińca zobaczyły. Wygnały ją stąd i teraz pędziły gniew i żal, a niepodobnaby powiedzieć, które z tych uczuć silniejsze w niej było. Krystyna Mikułowa, niemłoda, poważna, w chacie swojej szczęśliwa

matka i gospodyni, która dla sprawy jakiejś tu przyszedłszy, końcowej rozmowy naszej z Maryską przytomną była, patrząc ku drzwiom, z wolna wstrząsała głową.

— Biedna kobieta! nieprawdaż?

Zwróciliśmy się do niej zapytaniem:

— Biedna, to biedna, z wahaniem odpowiedziała, ale Pan Bóg Najwyższy wie co robi...

— Czy uważacie ją za złą kobietę?

— Zła, nie zła... może ona i nic złego nikomu nie zrobiła...

— Więc cóż?

— Ot...

Wahała się widocznie i, po nowym dopiero pytaniu naszym, dodała:

— Plemię *pohane*...

— Czy i wy, Krystyno, wierzycie w to, że obaj jej mężowie przez nią poumierali?

— Może przez nią, może i nie przez nią... Ten drugi, to pewno nawet nie przez nią, bo młody był chłop, roztropny, statkujący i gospodarski syn... Dziw był tylko, że z *taką* ożenił się, ale to już ona tak zrobić potrafiła... Czegoby jej, zdaje się, było ze świata go sprowadzać?... Jednakowoż ludzie nie żart jak gadali... Nawet ktoś przed urzędem oskarżył, śledztwo zjeżdżało...

— I nic nie odkryło?

— A nic.

— Widać niewinna była.

— Może winna, może niewinna... ale jeżeli i winna, to już potrafiła tak zrobić, żeby ludzkie oczy, widząc, nie widziały, a uszy, słysząc, nie słyszały. Takie wszystko potrafią...

Słowem, nie było dla Maryski środka uniewinnienia się wobec opinii publicznej ze zbrodni, o którą ją ona oskarżała. Córka rodu bez duszy wszystko złe popełnić i przed ludźmi ukryć mogła. Jednak ciężko jej być musiało żyć i pracować samotnie, z obarczającym ją podejrzeniem, pod dachem rodzicielskiej chaty, zdala od wsi, na piaszczystej wydmie stojącej.

— Może raz jeszcze za mąż wyjdzie, młoda jest i przystojna, — zauważyliśmy głośno.

Mikulowa ze szczerem zdziwieniem na nas spojrzała.

— Teraz — rzekła — to nikt już i nie spojrzy na nią... nietylko co... każdemu na świecie życie mile...

Trudno było powiedzieć, czy Maryska miała dla córki swojej żywsze jakie uczucie. Najczęściej obchodziła się z nią zupełnie obojętnie, czasem wpadała w złość i łajała ją, ale zawsze krótko. W ogólności możnaby mniemać, że nie umiała, czy nie mogła dużo mówić; w małowówności zaś jej widoczna była zacięta obraza i trwożna skrytość. Nie rozumiejąc zapewne swoich uczuć, była krwawo obrażona przeciw światu i ludziom i lękała się świata i ludzi. Zresztą dziewczynka bywała przez nią w sposób prawie nielitościwy męczona pracą nad wiek i siły, czego skutkiem była jej chudość i bladość. Gdyśmy raz przed nią to zauważyły, wzruszając ramionami odpowiedziała:

— Niechaj uczy się na chleb pracować i ciężką dolę znosić.... co ją dobrego czeka?... Czy ona tak jak inne...

I, jak najczęściej bywało, w połowie przerwawszy mowę, zaciśnęła usta i umilkła.

Pewnego wieczoru Słaboszychę, która zioła nam przyniosła i długo z nami o nich rozmawiała, zatrzymałyśmy na wieszak. Babę każdy przedmiot, znajdujący się na stole, wprawiał w podziw i zachwycenie. Zielonawe jej oczka nabierały ostrych błysków chciwości, powykrzywiane palce rąk miały naiwne i łakome ruchy dziecka, które wszystkiego dotknąć, wszystko pochwycić i posiąść pragnie. Widocznem było przytem, że zasiadanie z nami przy stole wielce jej pochlebiało. Szeroko śmiejąc się bezzębniemi ustami, głową kołysała i wciąż powtarzała:

— Ot, jak przyjmują mnie panowie.... ot, jak mnie *trachtują*.... a dajżeż wam Boże zdrowie, moje miłerkie.... ot, jak wy mnie przyjmujecie.... ot, jak wy mnie honorujecie.... oj, Bożeż mój, Boże.... jakiego ja szczęścia dostąpiła!

Z tem wszystkiem nic prawie nie jadła, tak trudno jej było nożem i widelcem manewrować. Jednak do napelnionego pieczenia talerza oczy jej prawie miłośnie błyskały.

— Bierz mięso w palce i jedz, — uczyłyśmy ją bez uśmiechu i uprzejmie.

Usłuchała zaraz. Z dobrze zrozumianem łakomstwem mięsożernej, a dwa razy na rok mięso jedzącej istoty, według udzielonej wskazówki, jeść zaczęła pieczeń, której sos i tłustość ściekały po jej małej, czarnej, od pracy i reumatyzmu wykrzywionej ręce; w drugiej trzymała kawał pieroga. Po chwili dopiero, z niejakiem zdziwieniem spostrzegłyśmy, że miała na kolanach, niewiedzieć jak i kiedy rozpostartą tam chustę, tę samą, w których ziola była przyniosła, i że od czasu do czasu, w sposób, ile tylko można było najskrytszy, upuszczała na nią kawałki pieczeni, pieroga, potem chleba z masłem i sera. W jakim celu tworzyła tę osobliwą śpizarnię? Miał to być zapewne zapas na jutro. Ale ona spostrzegła sama, że uwaga nasza zwrócona była na jej kolana, które piętrzyły się już mieszaniną ciasta i sera, mięsa i masła. Zmieszała się; otluszczone ręce pod stół spuściła i żałośnie spojrzęła na nas, widocznie, już się jej na płacz zbierało; oczy stawały się mgławce. Głową wstrząsnęła kilka razy i cicho, nieśmiało przemówiła:

— Nie gniewajcie się, moje mileńkie, zlitujcie się, nie gniewajcie.... to.... widzicie.... dla mego dziada!

Niebawem zobaczyłyśmy po raz pierwszy tego jej dziada. Było to w piękne jesienne popołudnie; siedziałyśmy na skraju sosnowego lasu, nisko ku ziemi schylone i pograżone w rozpatrywaniu mnóstwa najrozlicznějších barw, które jesień przystroiła drobnymi ziółkami i trawami. Szczególniej piękne były tam czerwone bluszczyki ziemne, długimi girlandami wijące się wśród żółtych krwawników i srebrnych poziomek, a także gwiaździste, delikatne, złotawe przytulje, których długie gałęzie ostrożnie i pracowicie wyplątywałyśmy z jałowcowego krzaka, obwieszonych czarnymi, świecącymi, jak szkło, jagodami. Jesienna cisza panowała w polu, porośłym puszystym kwiatem koniczyny i odkwitającymi, drobnymi bratkami; w lesie, od czasu do czasu basowo i smutnie odzywał się gołąb-grzywacz, albo zakrakowały i skrzydłami zaszumiały wrony. Z tą ciszą i z temi leśnymi odgłosami złączył się w pobliżu nas głos ludzki, monotonnie pacierz odmawiający. Obejrzałyśmy się; nieco za nami, pod młodą i szyszkami osypaną sosną stał wysoki człowiek, u którego zrazu spostrzegłyśmy tylko szarą siermięgę, gruby kij i białą, długą brodę. Żebak. Po przelotnym na niego spojrzeniu wróciłyśmy do uprzedniego zajęcia; ale słuch nasz pomimowoli ścigał monotonne, jak ciekąca woda, niekiedy tylko głośniejszymi westchnieniami wzdymające się mruczenie. Pomimowoli także, wsłuchałyśmy się w słowa odmawiającego paciery, które płynęły jedne po drugich, bez żadnych przerw i pauz, jak jednostajne, ciekące krople wody.

— Zdrowaś Marjo Matko Boża, a duszyczki zmarłe niech odpoczywają, módl się za nami grzesznymi, wieczny pokój, wieczne odpoczywanie czego sobie państwo żądają. Panie Boże wszechmogący ofiaruję Tobie ten paciorek czego sobie państwo żądają racz im dać Panie na cześć i na chwałę Twoją za duszyczki zmarłe w pokoju czego sobie państwo żądają na wieki wieków amen.

A po krótkiej chwili zaczął znów:

— Zdrowaś Marjo Matko Boska a duszyczki zmarłe niech odpoczywają...

Trzy razy od początku do końca tej szczególnej modlitwy przesłuchawszy i z trudnością śmiech powstrzymując, zwróciłyśmy się ku żebrakowi. Był tak piękny, że na widok jego napływały do pamięci imiona i postacie świętych apostołów i pustelników. Smukły, trochę przygarbionej, niemniej wspaniałej jego postaci nie oszpecała nawet siermięga, białym płótnem polatana i na plecach wisząca torba. Od bladego i przedziwnie prawidłowego owalu twarzy spływała mu aż prawie do pasa biała i jak srebro świecąca broda; także włosy otaczały wysokie, szlachetnie zarysowane, kilku poważnymi zmarszczkami przerzniete czoło, z pod którego patrzyły na nas łagodne, zamyślane, trochę cierpiące oczy. Najwybitniejszym wyrazem tej twarzy były: gołębia łagodność i trochę smutne zamyślenie. Rzekłbyś: mędrzec, który marność i żalność rzeczy ziemskich wyrozumiałwszy, dumal o nich z bezbrzeżną litością... Ręce ze starą czapką splótł na grubym kiju, stopy jego, białymi szmatami i obuwem z łozy plecieniem okryte, tonęły w liljowych splotach wrzosu i czerwonych gałęziach brusznicy; gałąź sosny, pod którą stał, zielonemi igłami dotykała mu prawie srebrnych włosów.

— Zdaleka jesteście, człowieku?

Z uprzejmości pełnym uśmiechem odpowiedział:

— Owszem, wielmożna pani, zbliska.

— Skądże?

Ręką wskazał ku widniejącej w pobliżu wsi.

— Jakże się nazywacie?

— Piotr Słabosz, wielmożna pani.

I uklonił się tak, jak panowie kłaniać się zwykli w salonach osobom starszym, z uszanowaniem, ale bez uniżoności, z wytworną uprzejmością i powagą. Na imię mu było Piotr, ale malarz wziąłby go na model do obrazu drugiego z dwu wielkich apostołów, tego, który, rzymskim obywatelem będąc, przy tkackim warsztacie rozmyślał nad najwyższymi zagadnieniami nieba i ludzkości.

— Dlaczego oddajecie się żebractwu?

Ani zadziwiło go, ani obraziło to pytanie. Z łagodnym i trochę tylko smutnym uśmiechem odpowiedział:

— Bieda zmusiła, wielmożna pani. Za młodu czytaniu się oddawałem, zdolności miałem, ale na obowiązku nie było jak i kiedy się uczyć. Młodość na pańskich służbach mi przeszła, starość nie radość, siły odebrała. Ziemi ani kawaleczka nie mam, żonę i dzieci mam. Miłosierdzia ludzkiego wzywam, aby nędzne ciało przy życiu utrzymać, a Boga Najwyższego błagam, aby mi pozwolił przed śmiercią udać się do Rzymu.

— Czegóż do Rzymu?

— Do Ojca Św. Grzechy całego życia wyznać, za farmazonów i libertynów w najświętszym miejscu Pana Boga przeprosić...

— Niechby sami przepraszali...

— A kiedy nie chcą, szelmy! Grzeszyć, to grzeszą, ale, żeby na kolankach Pana Boga przeprosić, to nie pokaże się po nich, gałganach. Świat w grzechu jest pogrążony i ciężka bieda wgryzła się w ludzkie kości. Do Rzymu pragnę, wielmożna pani, do najświętszego miejsca, aby tam jasnością boskiego powietrza odetchnąć i, na kolanach kościół Św. Piotra obszedłszy, oczyszczoną duszę i wyleczone kości na tutejszy cmentarz przynieść...

Mówił wyraźnie, nieco patetycznym głosem. Jakieś mętne, ale gorące marzenie, które tkwiło pod tą czaszką srebrnymi włosy okrytą, wyrazem mistycznego marzycielstwa przyoblekło mu czoło i w górę wzniesione oczy.

W parę tygodni później, w dość ciemny wieczór z przechadzki wracając, mijaliśmy chatę Słabosów. Była to niezmiernie nędzna, mała, czarna, współpróchniała chata. Z jednej strony otaczał ją warzywny ogródek, w którym nigdy nic rosnąć nie chciało, z drugiej, progiem i przyzbą dotykała ona bezpośrednio białej plachty piasku, ciągnącej się dość daleko pomiędzy wsią i lasem. Wnętrze jej, które znałyśmy dobrze, było może nędzniejsze jeszcze od zewnętrznego wyglądu. Chaty Perejków, Mikulów, Karasiów, w porównaniu z nią, pałacami nazywać się mogły. W małym okienku połyskiwało blade światło; przez drobne jego szyby spojrzaliśmy do wnętrza. W kącie niskiej i ciasnej izby z czarnymi ścianami, glinianą podłogą i zakopconym, głębokim otworem pieca, na grubym stole paliła się mała lampka, wyraźnie oświetlając siedzącą na zydlu parę ludzi. Była to brzydka, pomarszczona, bezzębna baba, w niebielonej koszuli i brudnej chustce na rozartowanych włosach i — wysoki, piękny, poważny starzec w połatanej siermiędze, ze srebrnymi włosy, długą, srebrzystą brodą i doskonale prawidłowym, bladym, łagodnym profilem. Głowy ich, nisko nad stołem pochylone, dotykały się prawie, a ręce zajęte były dość dziwną w tym miejscu i otoczeniu robotą. On z płóciennego worka dobywał garście miedzianych i srebrnych monet nadzwyczaj powoli, starannie je liczył, ona powykrzywianymi palcami brała je, raczej chwyciła i, ku swemu brzegowi stołu przysunawszy, okrywała łokciami i rękawami koszuli z taką pieczołowitością, z takim pośpiechem, jak kokosz skrzydłami jaja okrywa. Oczy jej świeciły, wargi rozchyłał szeroki uśmiech, głowa w brudnej chustce kołysała się w obie strony ze zdumioną i zachwyconą rozkoszą. W jego twarzy i ruchach, przeciwnie, nie zmąciła się żadna linja, nie umniejszyła się ani na drobinę panująca w nich cecha łagodności i spokojnego smętku. Tu, nad kupą miedzianych i srebrnych monetek, jak tam, pod sosnową gałęzią, była to klasyczna głowa mędrca, który o nędzach tego świata duma z łagodnym i przebaczącym smutkiem. Jednak, pomimo tych różnic, byli widocznie w doskonałej ze sobą zgodzie. Przy płóciennym worku z monetami stała misa ze sterczącą w niej drewnianą łyżką, zapewne przed chwilą wypróżniona przez dziada, który, jak domyśliłyśmy się, wrócił z odbytego wczoraj niedaleko stąd wielkiego, kościelnego nabożeństwa.

W głębi izby, pod piecem, siedziała na ziemi jeszcze jedna postać ludzka, w której odgadliśmy raczej, niż rozpoznaliśmy, Marysię. Najzupełniej obojętna dla tego, co działo się w kącie izby, plecami ku liczącym pieniądze rodzicom obrócona, niekiedy tylko, przez krótką chwilę, kołysała się w obie strony, poczem znowu w zupełną nieruchomość zapadała. Można byłoby mniemać, że spała, gdyby nie powolny, nieustanny ruch jej ręki, głaszczącej coś, na kolanach jej spoczywającego. Po dłuższym dopiero przypatrzeniu się rozpoznaliśmy w grubym zmroku, że były to jasne jak len włosy i blady profil Mańki, która z głową, na kolanach matki złożoną, głęboko spała. Po tych włosach i po tym profilu ciemna ręka Marysi przesuwiała się nieustannie z powolną i zamyśloną pieszczołą.

*

W chmurny listopadowy poranek rozeszła się wieść po wsi i dworze, że Piotr Słabosz umarł. Z jednej ze zwykłych swoich wycieczek wrócił do chaty krokiem wlokącym się i chwiejnym, żar miał na twarzy, drżenie w członkach, spotkanym ludziom plótł coś o Rzymie, kościele św. Piotra, jasnym powietrzu Bożem, w chacie legł na posłaniu ze słomy i grubego płótna i już zeń nie powstał. Powiadano, że wypowiadać się nawet przed śmiercią nie mógł, bo *wielka gorączka*, która go kędyś w drodze pochwyciła, odbierała mu wciąż przytomność.

Dokoła małej, czarnej chatki, na białej płachcie piasku stojącej, zebrała się, jak zwykle w podobnych wypadkach bywa, spora gromadka ludzi, przeważnie kobiet i dzieci. U rozwalającego się płotka warzywnego ogrodu, na spróchniałej przyzbie i nieco dalej, wśród złanych deszczem krzaczków rosnącego na piasku jałowcu, migotały już zdała przyćmioną czerwienią i sinym błękitem spódnice i chustki; widać było twarze pochylone ku sobie w zawziętym lecz cichym szepcie, lub na dłoniach oparte i z uroczytym lękiem ku chacie zwrócone. Z gromadki tej na spotkanie nasze wybiegła ładna Nastusia i z przerażeniem w szafirowych oczach, głośnym szepciem mówić zaczęła:

— *Ot, hałosić!* słyszycie jak *hałosić!* jak żyję nie słyszałam, żeby kto tak *hałosi!* Lucja siedzi tam przy niej, a tylko co wyszła i mówiła, że głową o ścianę bije... Ja tam blisko nie podchodzę i wy nie podchodźcie... bo *wielmi* straszno.... oj, moje mileńkie, jak straszno!

Szłyśmy jednak, i w jednej gromadce kobiet usłyszałyśmy Mikułową, która powoli, poważnie mówiła:

— Wszystko umiała, wszystko umiała, a ot, duszy w ciele zatrzymać nie potrafiła...

Inny głos, piskliwy i ślamazarny, prawil:

— Dobrze jej tak! Mało ona ludzi naobdzierała i nagubiła! U mnie samej, moje wy mileńkie, dziecko przeszłego roku przyjmowała, to nietylko, że kaszy ze swoich zgotować krup nie chciała, bo mówi: ja biedna jestem, nie mam za co, gotujcie sami! ale jak przyczepiła się: a jeszcze czterdziestkę dajcie! a jeszcze dwudziestkę! a ściankę płótna! a kawaleczek słoniny! a garsteczkę lnu! *Kab ty skista*, daj Boże! Czysta ta pijawka, ssała i ssała...

W ogródku, na sterczących z zagonu badyłach kładł się na wznak dwunastoletni chłopak, bosy, w koszuli i płóciennych majtkach i ze złożonymi na piersi rękoma *pokazywał* umierającego, czy umarłego Słabosza, a niewiele młodsza dziewczynka, trzęsąc głową, rozmachując rękami, wniebogłose krzycząc, udawała, że nad nim *hałosi*. Inne dzieci, śpiewając, szły pogrzebowym orszakiem za kłódką drzewa, przez dwoje, na przodzie idących, niesioną.

Niskie drzwi chaty były na oścież otwarte; we wnętrzu jej rozlegał się głos tak donośny i tak wyraźnie słowa wymawiający, że niepodobna byłoby przypisać go wątłej i bezzębnej babie. Czy rozpacz, tak jak radość, przywracać może ludziom na chwilę świeżość i siłę młodości? Głośne lamentowanie i wyrzekanie kobiet, po stracie osób bliskich, jest tu powszechnym zwyczajem. Ale tym razem, najpewniej nie proste stosowanie się do zwyczaju, lecz coś wcale innego nadawało przemawiającemu w chacie głosowi jego wielką siłę i poddawało mu myśli, które wypowiadał. Przewlekłe, zanosząc się naprzemiam to od płaczu, to jakoby od grobowego śpiewu, Słaboszycha mówiła i wołała:

— Uczony ty był, mój sokole, przy panach hodowany, wysoki jak ta topola, i nie pogardziłeś mną, prostą dziewczyną.... czytać na książce umiałeś, mówić po pańsku umia-

leś, delikatny byłeś i śliczny jak panicz — a nie pogardziłeś mną sierotą, rodziców i chaty swojej nie mającą, ludzkim popychadłem... Kiedy spojrzałam ja na ciebie, myślałam, że to słoneczko Boże zaświeciło, kiedy łaskawie przemówiłeś do mnie, jakby mnie anioł boski na swoje skrzydła wziął!... Ludzie śmiali się ze mnie i mówili: wstydem on ciebie okryje, zgubi on ciebie na wieki wieków! Gdzie tobie do niego! A ty mnie wstydem nie okrył i nie zgubił, przed Bogiem i ludźmi za żonkę wziął, sierotę bez matki i ojca, chaty swojej nie mającą, ludzkie popychadło... Oj, dziękowałam ja tobie za to przez całe życie, oj, wywdzięczałam się ja tobie zato, jak mogłam, oj, lubiłam ja ciebie, jak ojca i matkę, co mię dzieciną odumarli, jak chatę swoją, której nigdy nie miałam, jak ludzką litość, której nigdy nie doświadczałam, a teraz, jak ja tobie dziękować będę, jak wywdzięczać się, jak lubić, kiedy mi ciebie zimna śmierć zabrała! Oj, Boże mój wielki, czemuż nie mnie lepiej ona zabrała! czemu nie mnie!

Tu rozległo się głośnie klaśnięcie w dłonie, jakiś stuk, szelest, szamotanie się i napominanie; widać z ziemi ją podnoszono, przemocą uspakajano, aż po minutach kilku znowu *balosić* zaczęła.

— W głodne lata ty mnie od głodu bronił, oj, w te głodne lata, kiedy na ludzi wielki mór poszedł... co ty napracował się wtedy, obronicielu mój, co nachorował, wielki *skul* na rękę od pracy nosił, wiele rąk i nóg ludzkich nacałował, a mnie i dziecińcy nasze przekarmił i od głodowego moru ochronił, jak ten anioł boski... Oj, pamiętałam ja tobie to zawsze, oj, dziękowałam ja tobie za to przez całe życie, oj, wywdzięczałam się jak mogłam... a teraz, jak dziękować będę, jak wywdzięczać się, kiedy mi ciebie zimna śmierć zabrała, obronicielu ty mój, nigdy nienapatrzonej, nienadziękowanej!

Ryknęła takim płaczem, że aż drgnęły z przestachu siedzące na przyzbie kobiety i po nowych kilku minutach we wnętrzu chaty trwających szamotaniach i szeptach, znowu głos podniosła:

— Tyle latek przeżyli my z tobą, gołębiu mój, tyle latek jak paciórek przetoczyło się przed nami, a twoja ręka nigdy dla mnie ciężka nie była i twoje usta nie skrzywdziły mnie marnem słoweczkiem. Spokojny ty był, jak ten dąb na polu, jasno świecący, jak biały kwiat w lesie, taki łaskawy jak ta niewinna dziecina... Oj, pamiętałam ja to zawsze, oj, dziękowałam ja tobie przez całe życie, oj, wywdzięczałam się, jak mogłam, a teraz, jak dziękować będę, jak wywdzięczać się, kiedy mi ciebie zimna śmierć zabrała i pójdziesz do mokrej mogiłki, mój ty gołębiu... Oj, ratujcież mnie ludzie, ratujcie, kiedy Boga kochacie, bo tak mnie we środku boli, że nie wytrzymam...

Ratowali, a gdy — jak o tem pocichu opowiadały stojące przy chacie kobiety — podniesiono ją z upadku, albo od uderzenia głową o ścianę powstrzymano, zaczynała znowu i znowu... Były to jakby strofy z jednostajnym zakończeniem, opiewające coraz to inny ustęp, nikomu nieznaney, dziwnie tutaj niespodziewanej idylli. Była to, jakby dno błotnistej dołu owijająca, girlanda z kwiatów przywiązania i wdzięczności.

— Jak ja teraz nieszczęśliwa na świecie żyć będę! Kto moją biedną główkę przyhołubi, kiedy już ciebie niema? kto moje głupie oczy na światek Boży otwierać będzie, kiedy już ciebie niema? Kto mnie do rozumu, dobra nawróci, kiedy już ciebie niema? Kto dla mnie groszyk u dobrych ludzi wyprosi, kiedy już ciebie niema? Ty mnie był matką i *gubernierem* i doradcicielem i od czarnej godziny obronicielem, a ja, oj, pamiętałam ja to zawsze, oj, dziękowałam ja tobie za to przez całe życie, oj, wywdzięczałam się jak mogłam, a teraz jak dziękować będę, jak wywdzięczać się, kiedy mi ciebie zimna śmierć zabrała mój ty...

Urwała, słychać było tupot nóg w chacie, kobiety u okna zaszeptały, że wyrwała się z rąk tych, które czuwały nad nią. Istotnie, ukazała się w progu chaty; wypadła z sieni i przez mgnienie oka zobaczyłyśmy ją, jak obraz dzikiej, nieokiełznanej, na wszystko ślepej i głuchej rozpaczy. W krótkiej spódnicy, bosa, z chustką na plecy opadła i rozwiązanymi nad rozognioną twarzą wpół siwemi, a wpół czarnymi włosy, z pod czerwonych, opuchłych powiek spojrzała na wszystko i wszystkich przed chatą i nie zobaczyła nic i nikogo. Rzuciła się do progu, jak człowiek, który nagle stanął w płomieniu, rzuca się do pierwszych otwartych drzwi, lecz uczuwszy, że tu także płomień jej nie przygasa, splasnęła w ręce, twarz zalewającą się nowym gradem łez odwróciła i, z powrotem do wnętrza chaty wbiegając, krzyknęła:

— Chyba mnie za nim pójść! Jezusie! Maryjko, Przenajświętsza Panienko, Matko Boska, chyba mnie za nim na tamten świat pójść!

I poszła. Kiedy po kilkumiesięcznym oddaleniu wróciliśmy w to miejsce, jedną z pierwszych wiadomości, które nas spotkały, była ta, że Słaboszucha już nie żyje. O kilkanaście tygodni tylko baba bez duszy dziada swojego przeżyła. Znajome chłopki opowiadały nam o niej:

— Jak ta mogiłka, umilkła, jak ta trzaska — wyszła. Nic robić nie chciała. Nie *lekarowała* już i nie *wiedźmarowała*. Strawę prawie gwałtem do gardła jej łała córka. Leżała tylko i leżała, przewracała się z boku na bok, a potem już i przewrócić się nie mogła, tak osłabła. Raz poprosiła, żeby jej kto litościwy księdza przywiózł. Mikuła zlitował się pierwszy i już konia zakładać kazał, aż tu nadbiegła Maryśka, krzycząc: »Nie jedźcie już, gospodarzu, po księdza, nie jedźcie, ale kiedyście tacy litościwi, bratu znać dajcie, że — już po wszystkim!

Brat nadjechał i jakież było zdumienie ludzi w nędznej chatce zgromadzonych, gdy przybyły w obecności ich znalazł w rodzicielskiej skrzynce, nędznymi łachmanami napełnionej — worek z pieniędzmi. Była tam w zmiętych, starych papierkach i miedzianych lub srebrnych monetach, poważna dla chłopca suma kilkuset rubli. Zdziwienie było wielkie i usprawiedliwione.

— A-a-a-a! patrzajcie! — mówiono; — toż oni sobie mogli za to *szmat* ziemi kupić!

— I nową chatę postawić!

— I ze dwie krówki mieć!

Potem powinszowaniom, składanym parobkowi, końca nie było.

— *Szmat* ziemi sobie kupisz!

— Skończyło się twoje *walaczaszcz* życie!

— Sam sobie ty teraz będziesz panem i *batmanem*!

Parobek, niespodziewanem szczęściem oglupiony, z otwartymi ustami przebierał w palcach papierki, przesypywał monety, uśmiechał się i drapał się za uchem, gdy podeszła do niego Maryśka.

— Ostap, — rzekła, — oj, Ostap, a mnież co? i jaż takie same ich dziecko jak ty!

— Prawda, prawda, — potwierdzili obecni jednogłośnie.

Parobek do przytomności wrócił, na siostrę popatrzył, zamyślił się; potem jął papierki liczyć i odliczać. Przeliczył trzydzieści i wnet pięć odjął; przeliczył pozostałe dwadzieścia pięć i znowu pięć odjął; przeliczył dwadzieścia i jeszcze trzy odjął. Pozostałe siedemnaście podał siostrze.

— Na! bierz!

Wzięła i ku piecowi odchodziła, gdy ktoś z obecnych oburzył się:

— Krzywda! tobie sześćset, a jej siedemnaście! Krzywda! Pan Bóg nie pobłogosławi!

Ostap zamyślił się znowu i tym razem nie papierki już, ale monety liczyć zaczął. Przeliczył miedziakami dwa ruble i srebrem rubla; potem połowę srebra odsunął; pomyślał jeszcze i, resztę srebrnych monet do całości sumy zwróciwszy, garść pełną miedziaków do siostry wyciągnął.

— Na, bierz jeszcze! niechaj moje przejdzie!

Wzięła i ku piecowi odeszła. Tam, młody Mikuła, dziarski chłop, który czytać umiał, a dmuchnąć sobie w kaszę nie pozwoliłby nikomu, za ramię ją wziął.

— Czy ty głupia poprzestaniesz na tem, co on tobie wydzielił? Tobie więcej należy... tobie ósma część należy... rozumiesz? Jedź do sądu... jeżeli sam nie odda, idź do sądu! Każdy sąd ósmą część tobie przysądzi!

— Idź do sądu! — powtórzyło parę męskich, współczujących głosów.

Maryśka pomyślała chwilę, poczem odpowiedziała:

— Nie chcę, nie pójdę! On mnie jeden swój na całym świecie został. Nijakich ja skarg na niego zawodzić i po nijakich sądach ciągać go nie będę! Da więcej, to podziękuję, nie da, to niech tam jemu Pan Bóg wszystko dobrze daje!

Nie dał i Marysia procesu mu nie wytoczyła. Nad czarnymi, płomiennymi jej oczami, na pomarszczonym czole powstało parę zmarszczek więcej. Dziewiętnaście rubli w róg płóciennej szmaty zawiązała, wór z odzieżą na plecy zarzuciła, Mańkę wzięła za rękę i do sąsiedniego dworu na służbę poszła.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wiedzma/>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Ostatnie nowele*, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0660-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).